

A R T Y K U Ł Y

Andrzej Waśkiewicz

Uniwersytet Warszawski*

JAK BARDZO DEMOKRATYCZNA MOŻE BYĆ WŁADZA PRZEDSTAWICIELSKA?

**DELIBERACJA, REPREZENTACJA GRUPOWA I PARADOKSY
IDEI REPREZENTACJI**

■ Reprezentacja i kryzys demokracji

Niezadowolenie obywateli ze stanu demokracji w państwach, których rozwiązania ustrojowe przynajmniej w naszej części świata uważane były do niedawna za modelowe, znajduje dziś w teorii politycznej najczęściej dwa wyjaśnienia: wini się albo ich liberalny, albo reprezentacyjny charakter. Wyjaśnienia te nie wykluczają się nawzajem, ale też ściśle ze sobą łączą. I tak, krytycy z obozu pomarksistowskiej lewicy, na czele z Chantal Mouffe, winą za marazm życia politycznego obarczają głównie liberalne ograniczenie domeny właściwej dla polityki, a przy tym jej racjonalistyczny i indywidualistyczny charakter (por. Mouffe 1992: 29). Zarzuty te, co charakterystyczne, kierują wobec współczesnych filozofów liberalnych, na czele z Johnem Rawlsem, nie zadając już sobie trudu wyjaśnienia, w jakim związku filozofia ta pozostaje z instytucjami życia politycznego i dominującą w danym społeczeństwie kulturą polityczną. Z kolei krytycy instytucji reprezentacji w obecnym kształcie dzielą się na tych, którzy uważają, że należy je przynajmniej uzupełnić zinstytucjonalizowaną deliberacją, oraz tych, którzy te instytucje chcieliby uczynić jedynie bardziej reprezentatywnymi, przyznając prawo do grupowej reprezentacji określonym kategoriom i grupom społecznym (zwykle kobietom i mniejszościom etnicznym). Wychodząc z różnych przesłanek, wszystkie wymienione nurty mniej lub bardziej otwarcie kwestionują demokratyczny charakter ustroju mieniącego się liberalną demokracją przedstawicielską.

Zaniepokojenie stanem demokracji weszło do głównego nurtu teorii politycznej i zdążyło już obrosnąć własnym dyskursem. W większości tekstów autorów określających się jako filozofowie polityki znajdziemy więc bez

* Instytut Socjologii, e-mail: waskiewa@is.uw.edu.pl

wątpienia więcej odniesień do innych tekstów niż do samej rzeczywistości, która ich tak niepokoi. Mówiąc mniej oględnie, krytyka współczesnej demokracji w dużej mierze sama uległa alienacji, charakterystycznej dla współczesnej myśli politycznej¹. Wysublimowana polemika z kolegami zastępuje w niej często analizę polityki – takiej, jaka ona jest i jaka być może. Pod tym względem nurt krytyki demokracji reprezentacyjnej wypada skądinąd znacznie lepiej niż krytyka demokracji liberalnej, choć i jego czołowi przedstawiciele ograniczają się często do rozważań natury normatywnej, pozostawiając przed samym czytelnikiem zadanie przełożenia ich ideałów na odpowiednie instytucje i wmontowania tychże instytucji w istniejący system polityczny. Mimo tego praktycznego *non sequitur* jest to zasadniczo pragmatyczny nurt teorii politycznej, uznający, że obecny system wymaga jedynie istotnej przebudowy – korekty, ale nie całościowej zmiany, nawet jeśli przywoływanym niżej autorom nie brakuje wyobraźni, by przedstawiać rozwiązania w pełni wobec niego alternatywne.

Oba wymienione nurty krytyki wymagają jednak krytyki nie mniej fundamentalnej. Ci którzy obwiniają instytucję reprezentacji za deficyt demokracji, zdają się bowiem nie zauważać złożonego charakteru samej idei reprezentacji i wielości funkcji, jakie po zinstytucjonalizowaniu pełni ona w systemie politycznym. Reprezentacja nie służy przecież tylko wyborowi osób sprawujących władzę w zastępstwie nominalnego suwerena; w istocie nadaje też tej władzy prawomocny charakter, przyznaje reprezentantom pewne uprawnienia wobec reprezentowanych, a jednocześnie zapobiega, by ci ich nie nadużyli – by wymienić tylko niektóre z nich². Każda z tych funkcji koliduje przy tym z demokratyczną zasadą władzy ludu, przez co już sama idea demokracji przedstawicielskiej zawiera w sobie przynajmniej trzy wynikające z tych funkcji paradoksy: legitymizacji, suwerenności i ograniczenia władzy. W niniejszym tekście chciałbym pokazać, jak odnoszą się do nich dwa wymienione nurty krytyki demokracji reprezentacyjnej, i na tym tle ukazać ich specyfikę, a także – niejako przy okazji – zasygnalizować szerszy problem granic demokracji demokracji, wyznaczonych właśnie przez ideę i instytucję reprezentacji³.

¹ Pisał o tym już w latach 80. ubiegłego wieku John Gunnell (1986).

² O innych funkcjach piszę w książce, która już się ukazała, choć niniejszy tekst miał ją dopiero zapowiadać (por. Waśkiewicz 2012). W latach 2006–2010 instytucja demokratycznej reprezentacji doczekała się wreszcie, po bardzo długiej przerwie, wzrostu zainteresowania ze strony teoretyków polityki; znakomitym omówieniem dawnej i nowszej literatury przedmiotu jest praca z serii Key Concepts wydawnictwa Polity: Davida Runciman i Móniki Brito Vieiry *Reprezentacja* (2011 [2008]), z którą zapoznałem się już po napisaniu własnej książki..

³ O czym też piszę szerzej w zakończeniu wspomnianej książki.

■ Reprezentacja jako relacja trójstronna

Przez reprezentację rozumiem tutaj trójstronną relację społeczną: ktoś reprezentuje kogoś zawsze przed kimś, nawet jeśli nie zawsze wszystkie trzy wyróżnione strony dają się jednoznacznie określić⁴. Adwokat reprezentuje klienta przed sądem, ambasador reprezentuje swoje państwo przed rządem kraju, w którym jest akredytowany, związki zawodowe reprezentują zatrudnionych przed pracodawcami i rządem itd. Tę trzecią stronę, która w literaturze przedmiotu nie ma dotąd eleganckiej nazwy – z braku lepszego terminu nazywać ją będę „audytorium” – łatwo pominąć⁵, ponieważ w zasadzie nie ma ona wpływu na relacje między reprezentantem a reprezentowanym: sąd nie może narzucić adwokatów stronom procesu, a dyrektor przedsiębiorstwa nie ma wpływu na skład i kompetencje przedstawicieli jego pracowników domagających się podwyżek.

Niekiedy strona ta nie jest nawet dokładnie określona – przed kim reprezentują swój kraj sportowcy? – a niekiedy należy wręcz do innego porządku rzeczy, tak jak Bóg i Historia, przed którymi reprezentuje swój „lud” czy „naród” władza rządząca bez przyzwolenia rządzonych i niepodlegająca ich kontroli. W innych przypadkach jest jednak odwrotnie: to związek między reprezentantem a audytorium jest bardziej uchwytny niż między nim a jego mocodawcą – klasycznym przykładem będzie tu monarcha sprawujący władzę z boskiego nadania. Co szczególnie istotne, w takich wypadkach to właśnie audytorium może uprawomocnić pozycję reprezentanta, jeśli zajął on ją bez wyraźnej zgody reprezentowanych.

W sytuacji, którą można uznać za normalną, relacja reprezentacji zachodzi dzięki wyrażonej w mniej lub bardziej formalny sposób obopólnej zgodzie stron, choć zazwyczaj zdarza się to w warunkach ograniczonego wyboru; obywatele wybierają tylko spośród tych polityków, których wyselekcjonowały już organizacje partyjne, a klienci mogą zatrudnić tylko takiego znawcę

⁴ Koncepcję tę przedstawiam w tekście *Reprezentacja jako relacja społeczna* (Waśkiewicz 2010b; wersja angielska: Waśkiewicz 2010a). Podobne, ale rozwinięte i wszechstronne ujęcie reprezentacji *stricto* politycznej jako relacji trójstronnej zawiera artykuł Andrew Rehfelda *Towards a general theory of political representation* (2006), który przeczytałem już po napisaniu przywołanego tekstu.

⁵ Bernard J. Diggs dostrzega ten problem, ale go nie rozwija (por. Diggs 1968: 36), podobnie tylko okazjonalnie pojawia się on w książce Hanny Pitkin, która na określenie trzeciej strony używa terminu „publiczność” (*audience*) lub (referując poglądy autorów niemieckich) *Addressat* (por. Pitkin 1967). W istocie, nowe podejście do zjawiska reprezentacji wymagało zakwestionowania koncepcji Pitkin, skupiającej się na relacji między reprezentantem i reprezentowanym.

prawa, który uzyskał licencję od swojej korporacji zawodowej. Normy społeczne ograniczają kategorię osób, które mogą wybierać swoich reprezentantów, ale jeszcze bardziej tych, spośród których mogą oni wybierać. Tę większą restrykcyjność można wyjaśnić tym, że oczekiwania reprezentowanych wobec reprezentantów są zawsze dalej idące niż reprezentantów wobec reprezentowanych; nie przypadkiem potencjalni reprezentanci należą często do grup licencjonowanych, a bierne prawa wyborcze ma zawsze mniejsza grupa obywateli niż prawa czynne (przykładem limit wieku 30 lat dla osób ubiegających się o mandat senatora RP).

Takie rozumienie relacji reprezentacji może się wydać nieco ekstrawaganckie z uwagi na to, że we współczesnym państwie istnieją jasne procedury upoważnienia – nadania reprezentantowi prawa do występowania w imieniu reprezentowanych. W systemie politycznym upoważnienie dokonuje się jednak także mniej formalnie. Polityków wybiera się wprawdzie w sposób ściśle określony regułami, ale nie podpisują oni ze swoimi wyborcami formalnej umowy o reprezentowanie (tym bardziej nie robią tego lobbyści ze swoimi zleceniodawcami), podczas gdy klienta i jego prawnika łączy już związek określony prawem. Bez względu na stopień sformalizowania polityki, ujęcie reprezentacji w sensie rozszerzonym jest tu konieczne już choćby z tego względu, że pozwala krytycznie rozpatrzyć zarzuty wobec tej instytucji, stawiane przez rzeczników deliberacji i reprezentacji grupowej.

■ Paradoks legitymizacji władzy

Pierwszy z trzech paradoksów idei reprezentacji, o których będzie mowa, dotyczy legitymizacji władzy demokratycznej. Bez względu na to, czy taka relacja została formalnie zawarta, reprezentant jest kimś, kto w zastępstwie reprezentowanego wypełnia jego wolę, o ile zostaje to uznane, czyli zalegitymizowane przez audytorium. Było oczywiście zupełnie niepotrzebne Bogu, by ktokolwiek wypełniał na ziemi Jego wolę, skoro on sam jest wszechmocny, ale konieczne do legitymizacji władzy monarszej. Kiedy na miejscu Boga pojawia się jednak Lud czy Naród, to przed kim w państwie reprezentują go wybrani przez niego przedstawiciele? Przed nim samym oczywiście, tyle że teraz pisany już małą literą⁶. Za sprawą instytucji reprezentacji rządzący lud staje się więc rządzonymi ludźmi; pojęcie obywatela tylko ukrywa ten paradoks. Reprezentować kogoś znaczy ostatecznie sprawować nad nim władzę; odkrył

⁶ Zwraca na to uwagę Aleksander Herz w szkicu *Posłannictwo wodza* (1936), ale w istocie problem dotyczy każdej władzy, nie tylko totalitarnej.

to już Rousseau i dlatego w swoim projekcie republiki wykluczył wszelkie instytucje przedstawicielskie. Jeśli bowiem weźmiemy pod uwagę rzeczywiste mechanizmy podejmowania decyzji w demokracji, przesłonięte retoryką władzy ludu, to zobaczymy w niej po prostu państwo rządzone przez wybranych polityków. Dla wielu krytyków demokracji przedstawicielskiej rola instytucji reprezentacji sprowadza się do usankcjonowania takiej sytuacji.

Zwolennicy deliberacji obnażają ten paradoks z całą pasją. Dowodząc konieczności przywrócenia władzy „samych ludzi”, idą o wiele dalej niż teorie jedynie krytyczne wobec demokracji reprezentacyjnej, poprzestające na żądaniu „rzeczywistego wyboru” władzy i późniejszego wywierania wpływu na nią przez obywateli. Ambicje teoretyków deliberacji – z temperamentu i zainteresowań o wiele bliższych filozofom niż politologom – inspirowane z jednej strony wizją liberalizmu politycznego Rawlsa, a z drugiej koncepcją idealnej sytuacji komunikacyjnej Habermasa, idą niekiedy tak daleko, by postulować oparcie na zasadzie deliberacji całego systemu politycznego.

Instytucje w demokracji deliberacyjnej – twierdzi Joshua Cohen – nie służą po prostu wprowadzaniu w życie rezultatów deliberacji, ponieważ nieskrępowana deliberacja nie mogłaby wystąpić poza nimi. Ani zobowiązania do przeprowadzania deliberacji, ani możliwości podejmowania decyzji na tej drodze nie możemy uważać za coś, co można wyegzekwować niezależnie od właściwego porządku instytucjonalnego. Same instytucje muszą tworzyć właściwe ramy do kształtowania się woli [ludu]; to one decydują, czy deliberacja zachodzi w warunkach równości, czy jest nieskrępowana i rozumna, czy jej uczestnicy zachowują autonomię itd. (Cohen 1997: 79–80).

Rzecznicy deliberacji, nawet ci uprawiający czysto normatywną teorię polityki, nie posuwają się raczej do tego, by tą procedurą zastąpić wybory i głosowania⁷, niemniej w ich zgodnej opinii nie wystarczą tu zwykłe konsultacje, nawet regularne, jakie władza prowadzi ze społeczeństwem bezpośrednio lub poprzez jego reprezentantów. Politolodzy sympatyzujący z ideą deliberacji upierać się już będą tylko przy tym, by przynajmniej niektóre decyzje, ale rzeczywiście ważne, podejmowane były przez samych obywateli bez pośrednictwa polityków.

Dłaczego jednak nie mogą temu służyć instytucje demokracji bezpośredniej: referenda, inicjatywy ludowe czy *recall* (odwoływanie urzędników), bądź

⁷ Z pragmatycznego nurtu teorii deliberacji wyróżniał się jednak zawsze głos filozoficznych radykałów, takich jak Amy Gutmann, Joshua Cohen, Seyla Benhabib czy Iris Marion Young, i to właśnie do ich prac będą się tu odwoływał, ponieważ w nich zostały klarownie sformułowane idee fundujące alternatywny porządek polityczny.

też technologiczne nowinki w rodzaju teledemokracji? Zdaniem większości zwolenników deliberacji rozwiązanie te nie są wcale alternatywą wobec instytucji reprezentacji, zdominowanych przez organizacje partyjne, ale ich uzupełnieniem. Obywatele, manipulowani przez organizacje mające do swojej dyspozycji różnorodne środki nacisku, zdolne do posługiwania się mediami lub choćby wywierające na nie pośredni, ale znaczący wpływ, nie dokonują bynajmniej autonomicznych wyborów. Instytucje demokracji bezpośredniej nie podnoszą więc ani samej aktywności jej obywateli⁸, ani jej jakości; nie naruszają związków *mass democracy* i *smoke-filled room*. Dlatego też przy wszystkich niedoskonałościach procedur deliberacji każda z nich, twierdzi Fishkin, jest już lepsza od jej zupełnego braku (por. Fishkin 1991: 1, 38). Demokracja potrzebuje deliberacji bezwzględnie, nawet jeśli, o czym będzie niżej mowa, nie jest rzeczą bezdyskusyjną, czy jej uczestnicy podejmują rzeczywiście autonomiczne decyzje.

Bezwzględna wyższość instytucji deliberacji nad instytucjami reprezentacji ma bowiem polegać na tym, że to za ich sprawą ma się dokonać inkluzja tych obywateli, którzy – jak to wyjaśnia model demokracji proceduralnej Schumpetera – ze względu na niewielką liczebność grup, do jakich należą, a także brak zdolności organizacyjnych z oczywistych względów nie będą wzbudzać zainteresowania organizacji partyjnych. Instytucja reprezentacji nie jest zatem pasem transmisyjnym woli ludu; przeciwnie, jest instytucją arystokratyczną, dokładnie taką, jaką widział ją Rousseau, który też ukuł termin „arystokracja elekcyjna” na określenie ustroju na niej opartym. Bezpośrednia deliberacja ma więc przywrócić demokracji jej najbardziej elementarny sens; ambicje jej teoretyków sięgają niekiedy tak daleko, że pod pojęciem „władzy ludu” rozumieją oni dosłownie „władzę każdego” (Michelman 1997: 149).

Paradoksalnie, ci właśnie autorzy zdają się często nie zauważać, że ideą i instytucją demokratyczną nie jest również deliberacja. W projekcie rządu reprezentacyjnego Johna Stuarta Milla to przecież właśnie ona miała zrównoważyć jego element demokratyczny. Debatować nad tym, co dla państwa najlepsze, mieli wszyscy obywatele, ale deliberować, jakie podjąć decyzje, już tylko ich reprezentanci. Dlatego też Gutmann i Thompson słusznie piszą, że

tradycyjne testy mierzące zakres demokratycznej inkluzji, zastosowane wobec samej deliberacji, stanowią fundamentalne kryterium pozwalające ocenić, do

⁸ James S. Fishkin przytacza przykład Szwajcarii: mimo regularnych referendów (a może właśnie dlatego?) pod względem frekwencji w wyborach kraj ten lokuje się poza pierwszą dwudziestką demokracji (por. Fishkin 1991: 35).

jakiego stopnia deliberacja jest instytucją demokratyczną (Gutmann, Thompson 2004: 10).

I choć teoria – głównie dzięki wkładowi Habermasa – warunek ten ich zdaniem spełnia, pewne wątpliwości pozostają:

Trzeba jednak powiedzieć, że ta obrona demokratycznej deliberacji nie oznacza przewyższenia jej arystokratycznych korzeni. Jedną z powtarzających się wobec niej obiekcji, którą podejmiemy później [również w tym tekście – przyp. *A.W.*], jest to, czy demokracja deliberacyjna nie jest w ten czy inny sposób ekskluzywistyczna; czy nie wyklucza różnych ludzi nie przez prawne i formalne restrykcje, jak to się działo we wczesnych formach polityki deliberacyjnej, ale przez nieformalne normy określające, co właściwie należy do deliberacji (tamże).

Gutmann i Thompson przedstawiają z pewnością istotną słabość deliberacji, ale też uznając wykluczenie za jej problem fundamentalny, pomijają ten, który jest nim w istocie. Co bowiem ma dać obywatelom deliberacja? Sprawowanie władzy w państwie demokratycznym, wpływ na tę władzę czy tylko poczucie jej sprawowania lub wpływu na nią? Czy jej zwolennicy mogą odpowiedzialnie twierdzić, że zapewni ona im coś więcej niż poczucie udziału we władzy i okazjonalny wpływ na nią? Być może jest to już znacznie więcej, niż dają instytucje przedstawicielskie, ale czy wystarczająco dużo, by uzasadniać tym konieczność zinstytucjonalizowania deliberacji na skalę masową w całym systemie politycznym?⁹. Uzasadnieniem tej procedury nie może być przecież, co podkreślają jej przeciwnicy, ale co przyznają też niektórzy zwolennicy, jedynie sam fakt deliberowania, ale też jakość podjętych dzięki niemu decyzji, tymczasem nie ma żadnego uniwersalnego i bezdyskusyjnego kryterium, według którego można je oceniać. W pełni odpowiedzialnie rzecznicy deliberacji mogą więc opowiadać się za procedurą tylko ze względu na jej wartość normatywną, ale nie użyteczność.

Z takim stanowiskiem zapewne niewielu zwolenników instytucji przedstawicielskich skłonnych byłoby polemizować; nie ma przecież takiej demokracji, w której deliberacja nie występowałaby w takiej lub innej formie. Rzecz jednak w tym, że jej zwolennicy tak nisko oceniają jakość istniejących instytucji życia politycznego, że chcą deliberację zinstytucjonalizować niezależnie od nich, a nawet w opozycji do nich. Jeśli jednak zastąpienie instytucji reprezentacji instytucjami deliberacji wydaje się zamiarem całkowicie utopijnym, to czy

⁹ Jak zauważa Tiina Rättilä, teoretycy deliberacji rzadko zastanawiają się, czemu rzeczywistość może ona służyć (por. Rättilä 2000: 52). Inne słabości deliberacji, widzianej jako procedura legitymizacji, omawia Michael Saward (por. 2000: 66–77).

wbudowywanie takich instytucji do istniejącego już porządku nie będzie go jedynie legitymizować i utrwalać patologii rzeczywistych instytucji władzy?¹⁰.

W krajach liberalnej demokracji niezależne instytucje deliberacji mogłyby być może służyć inkluzji zmarginalizowanych grup społecznych, w państwach autorytarnych, takich choćby jak Chiny, mogą jednak służyć władzom jako atrapa demokracji, uzasadniając brak wolnych wyborów i choćby najbardziej niedoskonałych instytucji przedstawicielskich. Wbrew temu, co zwolennicy deliberacji uważają za oczywiste, wybór między demokratyczną deliberacją a arystokratyczną reprezentacją nie jest wcale jednoznaczny, jeśli tylko weźmie się pod uwagę jej inne funkcje. Budując państwo, nawet tylko „w słowie”, nie byłoby więc rzeczą rozsądną pozbywać się reprezentacji lub ograniczać jej znaczenie, nie mając pewności, że mogą je przejąć instytucje deliberacji.

Znamienne jest jednak, że nie przywołują tych funkcji także ci zwolennicy reformy demokracji, którzy chcieliby jej dokonać, przyznając prawo do dodatkowej reprezentacji obywatelom nieobecnym lub niedostatecznie obecnym w życiu politycznym. Podobnie jak zwolennicy deliberacji, współczesną demokrację uważają oni za nie dość demokratyczną, ale różnią się od nich diagnozą tego stanu rzeczy. W ich opinii to nie sama instytucja reprezentacji, ale niereprezentatywność ciał przedstawicielskich powoduje, że duże grupy obywateli nie mają żadnego wpływu na sprawy swojego państwa. Inkluzja tych grup wymaga stworzenia specjalnych, dodatkowych instytucji reprezentacji bądź też innego wykorzystania tych, które już istnieją, ponieważ dyskryminują one różnego rodzaju mniejszości. Zwolennicy reprezentacji grupowej są więc klasycznymi reformistami, lokującymi się w pół drogi między apologetami obecnego porządku, których będą przekonywać o konieczności jego zmiany, a rewolucjonistami z obozu demokracji deliberacyjnej, których projekty uważają za nierealistyczne¹¹.

Z ich perspektywy zasadniczy paradoks idei reprezentacji, zamieniającej rządzących w rządzonych, ujawnia bynajmniej nie naturę, ale niedoskonałość ustroju przedstawicielskiego. Nie kwestionują oni bowiem tego, że dzięki

¹⁰ Niektórzy teoretycy deliberacji, jak choćby John S. Dryzek, nie widzą przy tym w ogóle możliwości wbudowania deliberacji w liberalny porządek konstytucyjny (por. Dryzek 2000: 81).

¹¹ „Polityka obecności dystansuje się jednak wobec poszukiwania bardziej ambitnych rozwiązań proponowanych przez teorię demokracji deliberacyjnej, koncentrując się na programie reform, które od razu można wprowadzić w życie, lub mechanizmach, które już sprawdziły się w działaniu. Wobec całościowego programu uzdrowienia demokracji zajmuje stanowisko, które jej sympatycy mogą z żalem uważać za połowiczne poparcie” (Phillips 1995: 146).

instytucji reprezentacji decyzję w demokracji podejmuje ostatecznie większość obywateli. Inaczej niż teoretycy deliberacji, zasadniczej słabości tego ustroju nie postrzegają w relacjach między rządzącymi i rządzonymi, ale między większością sprawującą władzę na sposób formalny i nieformalny a mniejszościami, które jej w ogóle nie mają. Nie jest to więc paradoks reprezentacji, ale jej patologia. Choć w istocie instytucja ta legitymizuje władzę, to legitymizuje ją zawsze w stopniu ograniczonym, ponieważ ci, którzy nie są reprezentowani lub wręcz są wykluczeni z systemu, są potencjalnym źródłem jej delegitymizacji. Jak jednak właśnie ta instytucja, która odpowiada za ten stan rzeczy, mogłaby go teraz zmienić?

Rzecznicy reprezentacji grupowej rozpoczynają wykład swojego projektu od przywołania innej idei reprezentacji niż ta, która została zinstytucjonalizowana w ustroju przedstawicielskim. Sednem tej idei jest bowiem akt upoważnienia, czyli procedura wyboru, tymczasem w ich przekonaniu nie mniej ważna od wyboru jest sama osoba reprezentanta. „Jest w tym – twierdzi Anne Phillips – duża doza realizmu politycznego. Ponieważ reprezentanci mają autonomię, rzeczą istotną jest to, kim są” (Phillips 1995: 78).

Zwolennicy reprezentacji grupowej opowiadają się więc za „reprezentacją deskryptywną”: w przypadku grup i kategorii obywateli niewystarczająco obecnych w życiu publicznym ci, którzy ich reprezentują, powinni być „tacy jak oni”. Występując w imieniu tych obywateli, powinni – dowodzi w sztandarowym tekście Jane Mansbridge – występować we własnej sprawie, tak jak kobiety reprezentować interesy kobiet i tak jak czarnoskórzy Amerykanie swoją grupę etniczną (por. Mansbridge 1999). Może się to odbywać w ramach instytucji istniejących bądź też specjalnie do tego stworzonych; te zwłaszcza byłyby przydatne, jak przekonuje Will Kymlicka, w przypadku mniejszości etnicznych. W każdym razie wymaga to takiej reformy instytucjonalnej, by reprezentacja mogła służyć inkluzji dyskryminowanych grup społecznych – ludziom o konkretnym pochodzeniu etnicznym, kolorze skóry, płci czy preferencjach seksualnych – ponieważ służąc teraz abstrakcyjnym jednostkom, służy jedynie dominującej większości.

W tym sensie idea reprezentacji grupowej, rozumiana jako program rewitalizacji życia politycznego, idzie pod prąd głównego nurtu krytyki demokracji w jej obecnym kształcie, ponieważ charakterystyczny dla niego ideał aktywnego obywatelstwa zawiera ideę „uniwersalnej sprawiedliwości”. Ideał ten, jak twierdzą jego krytycy, jest jednak fałszywy i szkodliwy, podtrzymuje bowiem mit homogeniczności wspólnoty politycznej, a przez to *implicitie* utrwała wykluczenie z życia publicznego osób, które pod tym czy innym względem znacząco różnią się od większości jej członków.

Wszędzie tam – pisze Iris M. Young – gdzie między grupami ludzi występują różnice w szansach życiowych, kulturze, wartościach i wzorach zachowań, ścisłe przestrzeganie zasady równego traktowania przyczynia się do zachowania istniejącego ucisku i dyskryminacji (*disadvantage*). Inkluzja i wzrost aktywności wszystkich obywateli w instytucjach społecznych i politycznych wymagają więc czasem ustanowienia szczególnych praw odnoszących się do różnic międzygrupowych, aby podważyć istniejący ucisk i dyskryminację (Young 1989: 251).

Zwolennicy reprezentacji grupowej podają szereg argumentów na rzecz reprezentacji deskryptywnej¹². Najbardziej oczywisty jest ten, że dzięki niej na wokandzie politycznej zostają postawione sprawy, które bez obecności osób żywo nimi zainteresowanych zostałyby przez pozostałych pominięte. Reprezentanci grup mniejszościowych nie tylko informują większość o tym, co jest dla nich samych ważne, ale też z własnej perspektywy odnoszą się do tego, co jest ważne dla innych. Ich obecność w sferze publicznej nadaje właściwy charakter dyskusjom o sprawiedliwości – uwrażliwia większość na krzywdy, jakie ta, kierując się rzekomo uniwersalnymi standardami, może choćby mimowolnie wyrządzić mniejszościom. Po drugie można przyjąć, że w sytuacji, kiedy interesy różnych grup społecznych nie są wyraźnie wyklarowane, ci którzy do tych grup należą, intuicyjnie rozumieją je lepiej nawet niż ci którzy później mogą ich skuteczniej od nich samych bronić. Po trzecie wreszcie, co już zostało wspomniane, reprezentacja grup mniejszościowych podnosi legitymizację całego systemu, zapewniając lojalność tych grup; w istocie, nawet samo żądanie szczególnej reprezentacji można uważać za dowód uznania przez nich władzy większości (por. Kymlicka 1995: 181).

Dla Anne Phillips reprezentacja grup mniejszościowych jest istotą tego, co nazywa ona „polityką obecności”. Bez obecności na forum politycznym, i to nie tylko w formie symbolicznej – jednostkowych przedstawicieli „przymiatających” o istnieniu danej grupy – ale na tyle znaczącej, by mieć pewien wpływ na zapadające decyzje, inkluzja żadnej z nich nie jest możliwa. Jak to już zauważył John Stuart Mill, każdy dorosły człowiek jest najlepszym znawcą własnego interesu. Nieobecni nie mają racji, ponieważ „faktyczna reprezentacja”, o której z kolei mówił Edmund Burke swoim wyborcom w Bristolu, nie obejmuje bynajmniej wszystkich rządzonych, a „polityka idei” jest w istocie polityką ideologiczną, prowadzoną przez dominującą większość

¹² Szerzej na ten temat piszą cytowane już Jane Mansbridge (1999) oraz Iris Marion Young (2011: 184–185).

we własnym interesie. Mimo to, twierdzi Phillips, wymaga jedynie korekty, nie odrzucenia.

Podczas gdy polityka prowadzona w imię idei jest niewystarczającym środkiem do zapobieżenia wykluczeniu politycznemu, niewiele można zyskać przez samo przejście do polityki obecności. Kiedy uprawia się je osobno, słabość jednej jest tak samo dramatyczna, jak niedostatki drugiej. Większość problemów pojawia się rzeczywiście wtedy, kiedy obie występują w opozycji do siebie, kiedy idee traktuje się zupełnie abstrakcyjnie, niezależnie od ludzi, którzy je wyznają, bądź też kiedy uwagę zajmują sami ludzie, a nie ich działania i ideały (*policies and ideas*). To właśnie łącząc idee i obecność, a nie pozostawiając je w fałszywej opozycji, mamy nadzieję wypracować sprawiedliwszy system reprezentacji (Phillips 1995: 24–25).

W istocie uwagi i obawy autorki są w pełni uzasadnione. Czy bowiem sama obecność reprezentantów w ciałach przedstawicielskich może dać ludziom zmarginalizowanym zauważalny wpływ na sprawy ich państwa? Czy nie będzie służyć jedynie, czego obawiają się także jej rzecznicy, odwróceniu uwagi od tych instytucji, wybieralnych lub nie, w których zapadają ostateczne decyzje (por. Gutmann 2003: 19; Phillips 1995: 183)? Zwolennicy polityki obecności dzielą się na tych, którzy traktują ją merytorycznie i tych, którzy podchodzą do niej ideologicznie, choć wszyscy zdają sobie oczywiście sprawę, że nie ma żadnej pewności, iż w jakichkolwiek instytucjach reprezentanci grup mniejszościowych będą lojalni wobec swoich wyborców. W każdym razie wczesne badania przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych w 1978 roku nie dowiodły tego, by zwiększona reprezentacja kobiet i czarnoskórej ludności przełożyła się na ustawodawstwo bardziej przychylne tym kategoriom obywateli (por. Phillips 1995: 79, 158)¹³. Dlatego też, o ile można się zgodzić ze zwolennikami reprezentacji deskryptywnej, że obecność przedstawicieli grup mniejszościowych podnosi zapewne legitymizację całego systemu politycznego, to tym bardziej trzeba się zgodzić z ich wątpliwościami, czy naprawdę musi to prowadzić do rzeczywistej inkluzji owych grup do tego systemu. Ostatecznie nie wydaje się zatem, by idea reprezentacji grupowej radziła sobie lepiej z paradoksem legitymizacji władzy w ustroju przedstawicielskim niż procedura deliberacji.

¹³ Charakterystyczna jest tu krytyka polityki obecności czarnoskórych Amerykanów (tokenizmu, polityki indywidualnego sukcesu), dokonana przez Lani Guinier, rozróżniająca czarnoskórych deskryptywnie (fizycznie) i autentycznie (myślących jak czarnoskórzy) (por. Guinier 1994: 67–68, 122–123).

■ Paradoks suwerenności

Drugi paradoks reprezentacji, o którym tu będzie mowa, dotyczy suwerenności władzy. Nominalnym suwerenem w demokracji jest Naród, rozumiany jako wspólnota polityczna, ale – jak to klarownie wyjaśnił Carl Schmitt – suwerenne decyzje w każdym systemie politycznym podejmuje ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym. To on zawiesza instytucję reprezentacji zróżnicowanych interesów społecznych, by chronić interes państwa jako całości. Ten rzeczywisty suweren – jak dowodził Hobbes – sam jest reprezentantem, tyle że reprezentuje ogólnoludzką wolę zachowania życia, które pod nieobecność władzy jest w stałym niebezpieczeństwie. W tym sensie władza demokratycznego państwa reprezentuje i jedno, i drugie – i jedność państwa, i zróżnicowanie społeczeństwa – na co dzień zróżnicowanie, w sytuacjach krytycznych jedność. Konstytucja państwa dokładnie określa, kto i w jakiej sytuacji może użyć tego szczególnego atrybutu suwerenności, a może to zrobić właśnie dlatego, że jest reprezentantem całości. Biorąc pod uwagę reprezentację w tym złożonym sensie, podstawową prerogatywą władzy przedstawicielskiej jest więc, paradoksalnie, właśnie to, że ma ona prawo do użycia przemocy wobec tych, których w imię ich własnego interesu reprezentuje.

Teoria demokracji deliberacyjnej nie ma na ten temat – wykraczający skądinąd poza zainteresowania współczesnej anglosaskiej filozofii polityki – wiele do powiedzenia. Wyjaśnić to można po części tym, że teoretycy deliberacji „wiążą przymus w demokracji z «przemocą» i w najlepszym wypadku traktują go jako drugorzędny dla procedur demokratycznych” (Mansbridge 1996: 46).

Przymus w państwie jest jednak nieuchronny, bez względu na to, czy władzę w nim legitymizuje zasada reprezentacji czy deliberacji. Jest on problemem właściwie każdej normatywnej teorii polityki, która przedkłada pozytywną wolność obywateli do stanowienia prawa nad ich wolność negatywną do zachowania obszaru wolnego od ingerencji państwa. Rzecznicy demokracji deliberacyjnej bynajmniej nie twierdzą, że znajdują dla niego lepsze uzasadnienie niż zwolennicy demokracji reprezentacyjnej, ale w istocie nie znajdują żadnego.

Tymczasem w wyniku deliberacji ci, których racje nie znalazły uznania, muszą pogodzić się z tym, że podjęte decyzje naruszają niekiedy ich żywotne interesy. Deliberacja nie usuwa bowiem samego konfliktu, i mając to właśnie na uwadze, o wyższości tej procedury podejmowania decyzji można by mówić jedynie wtedy, gdyby łagodziła ona jego skutki. Czy tym wszystkim, którzy muszą się pogodzić z jej wynikiem, przyjdzie to łatwiej dlatego, że wzięli w niej udział? Czy uznają racje większości – jeśli ostatecznie decyduje

w niej większość – czy tylko jej siłę? A jeśli decyzje wymagają konsensu, to czy przychyliła się do dominującej opinii, ponieważ uznają konieczność jego osiągnięcia, czy tylko ugnę się z konformizmu? W wersji życzliwej dla deliberacji zgoda na jej niekorzystny wynik może się wyrażać w formule: występowałem w swojej sprawie, ale inni mieli lepsze racje, by przekonać większość, i dlatego muszę ustąpić; w wersji nieżyczliwej: chociaż miałem rację, nie udało mi się jednak przekonać do niej pozostałych i muszę się ugiąć. Wyjaśnienie niepowodzenia swojej partii w wyborach nie może być oczywiście tak proste, ale też, co istotne, nie obciąża ono w żadnym wypadku winą samego wyborcy.

Dlatego właśnie wydaje się, że subiektywne koszty porażki w instytucjach deliberacji byłyby wyższe. Jeśli zapewnienia rzeczników deliberacji, że za podjętą w jej trakcie decyzją stoi siła argumentu, a nie argument siły, potraktować z całą powagą, to pokonana w niej strona może za ten stan rzeczy winić jedynie siebie¹⁴. Instytucje reprezentacji niczego takiego nie obiecują; ci którzy należą do grup mniejszościowych, muszą się liczyć z porażką. Jeśli ich reprezentanci okażą się sprawnymi negocjatorami, ich polityczne znaczenie może być nawet większe, niż wynika to z ich siły w społeczeństwie, jeśli nie, to zapewne następnym razem wybiorą one innych. Rzecznicy deliberacji przypisują jednak reprezentantom nie tyle nieudolność, co alienację wobec reprezentowanych; to właśnie ona ma powodować frustrację i apatię obywateli. Ich wywody prowokują jednak do postawienia pytania, czy jeszcze większej frustracji nie spowodowałyby same instytucje deliberacji i czy ona również nie prowadziłyby do apatii. Ponownie wydaje się, że rzecznicy demokracji deliberacyjnej zbyt dużą wagę przywiązują do wartości samej procedury, pomijając znaczenie jej rezultatów.

W kontekście suwerenności władzy jest to jeszcze o tyle istotne, że jej decyzje muszą być nie tylko prawomocne, ale i skutecznie wprowadzane w życie. Wykorzystując pomysł sondażu deliberacyjnego autorstwa Jamesa Fishkina (o którym będzie jeszcze mowa), można sobie wyobrazić, że do podjęcia decyzji o ewentualnym zawieszeniu porządku konstytucyjnego zostanie wybrana losowo grupa kilkuset obywateli, swoisty mikrokosmos całego

¹⁴ Susan Stokes posuwa się nawet do tego, by mówić o szkodliwym i trwałym wpływie deliberacji na psychikę jej uczestników: „musimy rozważyć i to, że deliberacja może oddziaływać na obywateli na głębszym poziomie: może kształtować ich przekonanie, kim są i jakie mają zdolności. Ci którzy wychwalają demokrację deliberacyjną, powszechnie dowodzą, że może ona prowadzić do przemiany osobowości. Rzadko w tych dyskusjach bierze się jednak pod uwagę możliwość obniżenia poczucia wartości jej uczestników, ich przekonania o własnych zdolnościach i narzucenia im tożsamości zupełnie sprzecznej z ich rzeczywistymi potrzebami i interesami” (Stokes 1998: 124).

społeczeństwa. Ale czy można go powołać i zebrać natychmiast, gdy wymaga tego powaga sytuacji? Pod tym względem zasada reprezentacji, zwłaszcza reprezentacji proporcjonalnej, dokładniej oddającej zróżnicowanie społeczne, ma szczególną zaletę, przenosi bowiem, jak to ujmuje Nancy Schwartz, suwerenność z najdalszych peryferiów państwa i ogniskuje w centrum decyzyjnym (por. Schwartz 1988: 93, 101).

Tęgo waloru reprezentacji – możliwości skoncentrowania procedury decyzyjnej – deliberacja ze swej natury nie posiada. Wielu spośród jej krytyków zwraca uwagę na fakt, że duża część tego, co zostaje powiedziane podczas deliberacji – tak zwana gadka-szmatka (*cheap talk*) – wcale nie służy podjęciu decyzji, a wręcz je utrudnia. Jej uczestnicy, nawet przy założeniu ich najlepszej woli, nie kierują się przecież zasadami Rawlsa i Habermasa. Ponieważ reprezentują cały przekrój społeczny, pierwszym problemem, jaki mogą napotkać, może już być komunikacja między nimi. To, co jest oczywiste i nie wymagające dowodu dla jednych, wcale nie musi być takie dla innych¹⁵. Co z pewnością nie będzie służyć efektywności obrad, to ich pełna otwartość, której konieczności dowodzą najbardziej radykalni spośród zwolenników. Seyla Benhabib, dla przykładu, twierdzi, że:

Nie ma żadnych wstępnych, oczywistych samych w sobie reguł, które by ograniczały wokandę konwersacji czy tożsamość jej uczestników, dopóki każda z wykluczonych osób lub grup może zasadnie dowieść, że dyskryminują ją te normy, które kwestionuje. W pewnych okolicznościach może to znaczyć, że obywatele demokratycznej wspólnoty będą musieli wejść w praktyczny dyskurs z nieobywatelami, którzy mieszkają w ich kraju, na jego pograniczu lub poza jego granicami (Benhabib 1996: 70).

Teoretycy deliberacji podzielają też w większości powszechne wśród filozofów polityki przekonanie, któremu dał wyraz choćby Habermas w koncepcji idealnej sytuacji komunikacyjnej, że siłą rozumowych argumentów uczestnicy deliberacji mogą osiągnąć konsens. Teoretycy wobec deliberacji sceptyczni, jak można oczekiwać, dowodzą czegoś zupełnie przeciwnego: system otwarty na dyskusje wcale nie prowadzi do zbliżenia stanowisk. Wzmacnia tożsamości grupowe i raczej niż mediacji partykularnych interesów służy ich zdecydowanej obronie, już choćby dzięki temu, że w toku deliberacji zostają one jasno wyartykułowane i uświadomione sobie przez grupy dyskryminowane. Dla zwolenników deliberacji jest to akurat jej zaleta, a nie słabość, skoro sprzyja

¹⁵ Ilustruje to choćby zjawisko „Wszystko jasne!” (por. Gambetta 1998). James Johnson zauważa, że różne formy deliberacji prowadzą do różnych rozstrzygnięć tych samych spraw (por. Johnson 1998).

inkluzji, ale i oni muszą przyznać, że z tego względu kończy się ona często bez żadnej konkluzji (por. Gutmann, Thompson 2004: 52).

Rozpatrywana w kontekście suwerenności i prawomocnej przemocy, bardziej niż skuteczności użycia władzy służy ona bowiem zapobieżeniu jej nadużyciom, czemu nie mogą zaprzeczyć jej krytycy. Ogranicza dominację, czyli władzę nielegitymizowaną, nad tymi wszystkimi, którym brak wystarczająco silnej reprezentacji w ciałach decyzyjnych, rekompensując w ten sposób słabości systemu przedstawicielskiego, „filtrującego” interesy nielicznych grup. Ale też nie można przeceniać jej możliwości w tej roli. Jak to ujmuje Ian Shapiro:

Odnosząc to do materii normatywnej, możemy powiedzieć, że im bardziej narazone są czyjeś podstawowe interesy, tym większe ma taka osoba prawo wysuwania żądań deliberacji, niemniej jednak po osiągnięciu pewnego progu zagrożenia nawet i to jest niewystarczające (Shapiro 2006: 62–63).

Nie można bowiem wykluczyć, że instytucja deliberująca sama nie ulegnie „tyranii większości”, podobnie jak zdominować ją może tyrania mniejszości, tyrania bowiem, jak twierdzi wyczulony na tym punkcie Fishkin, pojawia się zawsze wtedy, kiedy władza narusza czyjeś podstawowe prawa (por. Fishkin 1995: 59). Dlatego też, w odróżnieniu od innych teoretyków deliberacji, autor ten podkreśla konieczność reprezentatywności ciał deliberacyjnych; znacząco obniża to prawdopodobieństwo podjęcia przez nie decyzji restrykcyjnych wobec jakichkolwiek grup społecznych, choć ich nie wyklucza. Wątpliwości Fishkina są w pełni uzasadnione. O ile bowiem system przedstawicielski, zaprojektowany przez Madisona i innych twórców amerykańskiej konstytucji, został pomyślany tak, by w ogóle nie dopuścić do reprezentacji w ciałach politycznych frakcji większościowej, jeśli taka powstanie w społeczeństwie, to instytucje deliberacji żadnych mechanizmów zabezpieczających tego rodzaju nie mają.

Instytucja reprezentacji grupowej ma z kolei według jej zwolenników nie tylko chronić mniejszości, ale też, o ile to możliwe, prowadzić do rzeczywistego zrównania praw politycznych ich członków z członkami dominującej większości. Także i w tej korekcie demokracji przedstawicielskiej nie pojawia się refleksja nad samym przymusem, nawet jeśli teoretycy reprezentacji grupowej poddają krytyce ukrywające go idee liberalnego indywidualizmu i republikańskiego ludu.

Kiedy bowiem rzecznicy deliberacji demaskują mit władzy ludu sprawowanej poprzez instytucje reprezentacji, sami kwestionują już istnienie jakiegokolwiek ludu. Dla feministek jest to jedynie zbiór mężczyzn, ponieważ abstrakcyjna jednostka okazuje się zawsze mężczyzną, natomiast rzecznicy praw dla mniejszościowych grup etnicznych i narodowościowych będą w nim

widzieć konkretny *ethos*, podszywający się jedynie pod uniwersalny *demos*. Jedni i drudzy w doktrynie suwerenności ludu upatrują zatem dominacji tej czy innej większości.

Wszelkie normatywne teorie demokracji akcentujące to, co w owym ludzie różne – „różnicę” – i dopominające się o jej obecność w ciałach decyzyjnych, muszą więc choćby pośrednio kwestionować Hobbesowską instytucję suwerenności powstałą za sprawą reprezentacji tego, co wspólne wszystkim reprezentowanym. Jeśli władza pozbawia jakąś kategorię ludzi możliwości wpływu na swoje decyzje, każdy zastosowany wobec niej przymus będzie jedynie zalegalizowaną przez większość przemocą. Rozumowanie to prowadzi ostatecznie do uznania, że jedynie „lustrzana” reprezentacja społeczeństwa, podobna średniowiecznej alegorii, może sprostać temu warunkowi legitymizacji. Biorąc pod uwagę zróżnicowanie współczesnego społeczeństwa (średniowieczne miało tylko swoje stany i ziemie) i wszelkie możliwe krzyżowanie się kategorii podziału, można jednak wątpić, czy prowadzi ono do czegokolwiek poza bałkanizacją państwa z wszystkimi jej skutkami¹⁶. W istocie odwołanie się do tego modelu ma służyć zwolennikom reprezentacji grupowej jedynie do uzasadnienia potrzeby dodatkowej lub zmienionej reprezentacji w celu zwiększenia reprezentatywności całego systemu. Mimo to uzasadnione wydaje się stwierdzenie, że różnicę między składem ciała decyzyjnego powstałego w drodze reprezentacji odwzorowującej zróżnicowanie społeczne (izomorficznej) a takim, jaki przynoszą wyniki wyborów, bez względu na ich ordynację, traktują oni jako niedoskonałość systemu politycznego.

Rzeczników reprezentacji grupowej nie martwi też i to, że tak mocno zróżnicowane ciało miałoby problemy z podejmowaniem decyzji, zwłaszcza że część jego członków zasiadałaby w nim właśnie po to, by zaznaczyć odrębne zdanie mniejszości. To zapewne z ich strony można by się spodziewać radykalizmu i braku gotowości do negocjacji; tożsamości nie można w końcu negocjować tak, jak wielkości podatku.

[J]est wiele powodów – przyznaje Amy Gutmann – by krytykować bezkompromisowość tych grup tożsamościowych, które zabiegają o korzyści dla siebie, nie biorąc pod uwagę, kto ma słuszość w danej sprawie, i odmawiając nawet przez to członkom innych grup równych praw obywatelskich, wolności i możliwości

¹⁶ Ten strach przed bałkanizacją, jak przyznają zwolennicy reprezentacji grupowej, ma zresztą pewne uzasadnienie (por. Phillips 1995: 96, 114). Kwestią dyskusyjną jest natomiast to, czy z braku pełnej reprezentatywności ciała decyzyjnego można już wyciągnąć wniosek o systematycznym niedoreprezentowaniu określonych grup (por.: Kymlicka 1995: 132; Young 2000: 142–143).

rozwoju. Ale też tę samą krytykę można skierować pod adresem niezdolnych do kompromisu grup interesu – należą do nich niektóre korporacje – kiedy zabiegając o swoje interesy, podobnie zaprzeczają zasadom sprawiedliwości demokratycznej (Gutmann 2003: 18).

Wbrew temu, co pisze Gutmann, różnica między polityką uprawianą w instytucjach władzy przez grupy tożsamościowe i grupy interesu jest jednak bardziej znacząca. Choć te pierwsze mają już w społeczeństwie zbiorową tożsamość, to właśnie dzięki politycznej reprezentacji mogą ją utrzymywać i wzmacniać. Polityka obecności odwraca w istocie relacje między tym, co społeczne i tym, co polityczne. W klasycznej, wigowskiej koncepcji polityki, na której oparty jest ustrój przedstawicielski, najsilniejsze grupy społeczne fundują sobie polityczną reprezentację, aby zabiegać o swoje interesy, natomiast zgodnie z polityką obecności polityczna reprezentacja zostaje odgórnie przyznana grupom społecznie słabym i samodzielnie niezdolnym do politycznego wyartykułowania swojego interesu. Polityka obecności podporządkowana jest bowiem emancypacji społecznej, a nie tworzeniu ładu publicznego. Iris Young idzie tu nawet tak daleko, by przyznać mniejszościom formalne prawo weta wobec decyzji, które dotyczą ich żywotnych interesów (por. Young 1989: 261)¹⁷. Nietrudno zauważyć, że daje ono im nieproporcjonalnie dużą władzę nad większością, a przy tym skutecznie może paraliżować proces decyzyjny.

Pomysł Young zwraca też uwagę na fundamentalny problem, związany z reprezentacją grupową, który się pojawia, jeśli ma mieć ona charakter reprezentacji izomorficznej. Ten typ reprezentacji zakłada bowiem ścisły związek między reprezentantem i reprezentowanym, mimo że nie jest on sformalizowany nawet w przypadku tych mniejszości narodowych, których organizacji nie obowiązuje próg wyborczy w wyborach proporcjonalnych. W szczególnym stopniu dotyczy on natomiast kobiet. Na jakiej bowiem podstawie i w jakim zakresie hipotetyczna Partia Kobiet jest ich reprezentantem? Oczywiście będzie ona zapewne wyczulona na to wszystko, co dotyczy kobiet w ogóle, ale w sensie formalnym nie reprezentuje ich w stopniu większym niż, przykładowo, partia socjalistyczna reprezentuje interesy pracobiorców, a partia chłopska interesy wsi. Żadna z nich nie może tu sobie rościć pretensji do wyłączności; na tym właśnie przecież polega polityka w ustroju przedstawicielskim, że różne organizacje, na czele z partiami politycznymi, rywalizują

¹⁷ Na temat różnicy między grupą tożsamościową i grupą interesu por. Gutmann 2003: 15.

o prawo – a także je sobie uzurpują – do reprezentacji grup o płynnych granicach i nieokreślonych do końca tożsamościach zbiorowych¹⁸.

Za koncepcją przyznania grupom mniejszościowym reprezentacji stoi tymczasem nie tylko założenie, że społeczeństwo złożone jest z grup w miarę stabilnych, ale też że podział ten jest na tyle jednoznaczny, że nie wymaga procedury wzajemnego „poszukiwania się” tych grup i ich potencjalnych reprezentantów. W istocie podział państwa na grupy, a nawet wyszczególnienie takiej grupy, której należy się jakaś forma zbiorowej reprezentacji, jest ingerencją w ten proces, a przy tym naruszeniem zasad równości praw politycznych, o czym będzie jeszcze mowa. W przypadku przyznania prawa do reprezentacji mniejszościom kulturowym oznacza to *de facto* krok w stronę rozwiązań federacyjnych, nawet jeśli nie towarzyszy temu podział terytorialny.

W istocie – przyznaje to Will Kymlicka – twierdzimy tu, że [w granicach danego państwa] żyje więcej niż jedna wspólnota polityczna i że władzy większego państwa nie można uważać za nadrzędną wobec władzy składających się nie wspólnot narodowych. Jeśli demokracja jest władzą „ludu”, to członkowie mniejszości narodowych będą twierdzić, że w państwie żyje więcej niż jeden „lud” i każdy z nich ma prawo, by rządzić się samemu (Kymlicka 1995: 182).

Doktrynie suwerenności ludu teoria praw grupowych przeciwstawia więc segmentację ciała politycznego i względną autonomię jego części. Paradoks suwerenności władzy przedstawicielskiej zostaje rozwiązany za cenę zniesienia samej suwerenności i wprowadzenia rozwiązań federacyjnych.

Rozwiązania te, co przyznają sami rzecznicy grupowych praw mniejszościowych, nie likwidują jednak problemu mniejszości żyjących pośród mniejszości, a na terenach mieszanych etnicznie nie jest on bynajmniej wydumany (por.: Phillips 1995: 110; Young 2011: 257). Przyznają też, że nawet stosując rozwiązania federacyjne, nie można zupełnie rozerwać związku między etnicznością i instytucjami politycznymi; wyrastają one bowiem z jakiejś dominującej „kultury socjetalnej”, czyli takiej która stworzyła podstawowe instytucje życia społecznego (por. Kymlicka 1995: s. 76). Nie jest to wielki problem, twierdzi Kymlicka, kiedy ta kultura respektuje prawa jednostkowe, bo to właśnie one pozwalają domagać się rekompensaty za wynikające stąd mniejsze szanse życiowe¹⁹. A kiedy jednak tak nie jest? Paradoks koncepcji

¹⁸ Pisze na ten temat Michael Saward (2006).

¹⁹ „W społeczeństwie demokratycznym większość narodowościowa zawsze zapewni sobie poparcie dla swojego języka i kultury socjetalnej, będzie też miała dość siły w ciebie ustawodawczym, by wspierać swoje interesy w sprawach dotyczących kultury. Należy tu więc postawić pytanie, czy zasady sprawiedliwości (*fairness*) wymagają, by te same

praw grupowych polega tu na tym, że z jednej strony kwestionuje ona fundamentalny dla kultury liberalnej indywidualizm, ale z drugiej nie znajduje dla nich uzasadnienia, które by nie zawierało wartości liberalnych, z wolnością od politycznego ucisku na czele²⁰.

■ Paradoks ograniczenia władzy

Trzeci i ostatni z przedstawianych w tekście paradoksów reprezentacji związany jest właśnie z ograniczeniem władzy. Mimo że jest ono zinstytucjonalizowane w mechanizmie jej podziału, ostatecznym warunkiem bezpieczeństwa obywateli okazuje się równowaga interesów społecznych, wyrażająca się w ciałach przedstawicielskich istnieniem opozycji zdolnej do „przeszkadzania” rządowi, jak to ujął Monteskiusz. Jeśli bowiem w społeczeństwie istnieje „frakcja większościowa”, której obawiali się już twórcy pierwszego państwa demokratycznego, mechanizm ten nie może należycie funkcjonować – każda z formalnie niezależnych władz będzie pozostawać w jej rękach. Osiągnięcie równowagi interesów zajmowało społeczeństwom zachodnim nieraz całe stulecie; dzięki instytucji reprezentacji została ona przeniesiona do systemu politycznego. Od reprezentantów interesów grupowych wyborcy nie oczekują jednak, by ową równowagę utrzymywali, ale by skutecznie działali na ich rzecz. Oczekują więc od nich, paradoksalnie, czegoś, co w tyleż dłuższej, co szerszej perspektywie wcale nie leży w interesie ich bezpieczeństwa i czego oni sami – traktując władzę jako narzędzie realizacji interesów bezpośrednich – mogą w ogóle nie zauważać.

Paradoks ten nie przypadkiem nie pojawia się w literaturze poświęconej deliberacji. To że obywatele, przystępując do niej, mają już jakieś interesy i preferencje, nie ma tu wielkiego znaczenia, ponieważ to właśnie deliberacja ma im uświadomić lub wręcz odkryć przed nimi ich „rzeczywiste” interesy. Na co dzień nie muszą być ich świadomi i zupełnie błędnie mogą je postrzegać; teoretycy deliberacji widzą w tej „fałszywej świadomości” wpływ propagandy partyjnej, stronnicych mediów i innych grup nacisku, ale też rutynę w myśleniu lub wręcz apatię umysłową. Dlatego też deliberacji, przekonują jej rzecznicy, nie można traktować jedynie jako procedury negocjacji interesów bez pośrednictwa reprezentantów partyjnych; nie jest ona bynajmniej grą o sumie zerowej, w której jedni zyskują kosztem drugich. Na dobrej decyzji,

możliwości i korzyści były też przyznane mniejszościom. Moim zdaniem oczywiście tak” (Kymlicka 1995: 113).

²⁰ Na temat złożonych relacji między feminizmem i liberalizmem por. Phillips 2005.

podjętej najlepiej w drodze konsensu, ma zyskać cała wspólnota polityczna. Dzięki deliberacji jej uczestnicy lepiej rozumieją racje innych i skłonni są je uwzględnić we własnych preferencjach. W istocie o powodzeniu całej procedury, na co zgodnie zwracają uwagę jej zwolennicy i przeciwnicy, można mówić właśnie wtedy, kiedy pod wpływem debaty następuje ich zmiana.

Czy jednak zmiana postaw osiągnięta w ten sposób może być trwała? Czy po powrocie do realnego świata, w którym debata odbywa się w warunkach w niczym nie przypominających eksperymentu laboratoryjnego, wyizolowani na kilka dni ze swego naturalnego środowiska obywatele nie wrócą do swoich dawnych przekonań? Jest to pytanie, na które odpowiedź można uzyskać na drodze empirycznej (choć trzeba pamiętać, że będzie ona bardzo kosztowna)²¹. Nie należy przy tym zapominać, że efekt zmiany będzie z pewnością zależał od przedmiotu debaty, który samym uczestnikom może się wydać mniej lub bardziej istotny, a przez to godny przemyśleń i ewentualnych przewartościowań. W każdym razie, jeśli zmiana przekonań ma się przekładać na decyzje, to te muszą zostać podjęte zaraz po deliberacji. Tu z kolei, jak dowodzą jej krytycy, wiele zdaje się zależeć od samego trybu ich podejmowania; jeśli deliberacja ma się zakończyć głosowaniem, to może mieć ono większe znaczenie, niż chcieliby to przyznać jej zwolennicy.

Przeciwny deliberacji Adam Przeworski podaje tu charakterystyczną anegdotę: uczestniczył kiedyś w zebraniu, podczas którego propozycja rekomendowana przez odpowiedni komitet przeszła bez głosu sprzeciwu, ale w tajnym głosowaniu dwie osoby były już wobec niej przeciwnie (por. Przeworski 1998: 156, przyp. 1). Codzienna praktyka zebrań (choćby uniwersyteckich rad wydziałów) pokazuje, że przeciwnicy proponowanych rozwiązań wcale nie muszą przeciw nim występować otwarcie, jeśli swój sprzeciw będą mogli wyrazić w tajnym głosowaniu. Poza tym uczestnicy deliberacji mogą też głosować strategicznie, czyli popierać takie rozwiązanie, które w ich przekonaniu może nie jest najlepsze, ma za to największe szanse przyjęcia. Wykluczenie głosowania i podejmowanie decyzji przez aklamację uspołniłoby więc cały system, ale też naraziło go na ryzyko niepodjęcia żadnej decyzji²².

Zmiana preferencji w wyniku deliberacji niepokoi jej krytyków głównie z tego względu, że w samej procedurze dostrzegają oni możliwości manipulo-

²¹ Prof. James Fishkin podczas prezentacji swojego sondażu deliberacyjnego w Warszawie zimą 2009 r. odpowiedział na to pytanie twierdząco: przynajmniej kilka miesięcy po uczestnictwie w tej procedurze kilkadziesiąt procent ankietowanych uczestników deklaroowało pogląd inny niż przed nią.

²² Szerzej na temat różnych dylematów procedur wyboru piszą Bohman, Rehg (1997: XVII–XXIII).

wania jej uczestnikami. Twierdzą oni, i przytaczają na to dowody, że instytucja organizująca deliberację, czy będzie to rząd, czy też organizacja społeczna lub nawet przedsiębiorstwo ekonomiczne, organizuje ją często po to, aby przekonać do swojego stanowiska wszystkich, których decyzje będą dotyczyć – uzyskać poparcie dla swojej polityki lub pozyskać w jej rezultacie argument przydatny w wywieraniu nacisku na władzę (por.: Smith 2009: 262; McLaverty 2009: 27)²³. Doświadczeni i przebiegli moderatorzy deliberacji potrafią wręcz wmówić ich uczestnikom rzekomo ich własne preferencje, stworzyć pseudoproblemy, na które sami mają już gotowe rozwiązanie. Z tego względu Przeworski twierdzi, że deliberacja jest instytucją niedemokratyczną, ponieważ instytucje demokratyczne mogą jedynie takie preferencje agregować, zliczać i sumować (por. Przeworski 1998: 140). Ten pogląd opiera się z kolei na przekonaniu, że instytucja reprezentacji, mimo wyboru reprezentantów i ich negocjacji interesów grupowych, nie zakłóca samej agregacji, co budzi oczywiste obiekcyjne wątpliwości rzeczników deliberacji. Systemom politycznym, które stosują konkurencyjne metody ustalania interesów i preferencji obywateli, obie strony sporu stawiają ten sam zarzut ich wypaczania.

Dlatego też zwolennicy instytucji deliberacji, odnosząc się do niego, podkreślają, że to jednak tylko w nich można stworzyć warunki, pozwalające „każdemu uczestnikowi przekonać do swego poglądu każdego innego” (Knight, Johnson 1997: 295), czego nie zapewniają organizowane przez władze konsultacje społeczne (dowodzić tego ma szeroko komentowana debata na temat programu Medicaid w stanie Oregon, w której ubożsi obywatele nie wzięli udziału). Czy jednak w istocie wyrównują one szanse wszystkich uczestników? Czy taka sytuacja nie uprzywilejowuje tych, którzy najsprawniej operują słowem, a może wręcz, przed czym ostrzegają nie tylko przeciwnicy wszelkich procedur deliberacji, prowadzi do tyranii wpływowej mniejszości? Zdolność perswazji, wymagająca choćby biegłości w posługiwaniu się otwartym kodem językowym, nie jest przecież równo rozłożona w społeczeństwie i niezależna od pozycji klasowej. Dlatego też Iris Young, wyczulona na zjawiska marginalizacji demokracji reprezentacyjnej, przeciwstawia demokrację nie deliberacyjną, ale „komunikacyjną”; procedura deliberacji, zdaniem tej autorki, wymagając od jej uczestników jednego stylu występowania przed publicznością, ukrywa w sobie kulturowe wykluczenia, a to oznacza, że sama jest

²³ Uczestnicy deliberacji mogą też być manipulowani przez samych ekspertów, którzy winni im jedynie służyć swoją wiedzą (por. Bang, Dyrberg 2000: 150). Z tych względów, jak dowodzi Graham Smith, instytucje deliberacji nie mogą służyć legitymizacji demokratycznego porządku (por. Smith 2000: 33).

agonistyczną, konfliktową procedurą podejmowania decyzji (Young 1996: 122–124, 132).

James Fishkin, podobnie jak inni teoretycy deliberacji²⁴, nie rozważa jednak poważnie tej korekty. Procedura losowego wyboru liczącego sobie 600 osób ciała deliberacyjnego, które będzie stanowić lustrzane odbicie społeczeństwa, jego mikrokosmos ze wszystkimi podziałami społecznymi, ma chronić demokrację przed tyranią zarówno większości, jak i mniejszości²⁵.

Polityczną równość – twierdzi Fishkin – można osiągnąć, licząc równo wszystkie głosy lub opinie, ale w skali demokracji masowej prowadzi to do postawy niezaangażowanej obserwacji, a nie świadomej i skutecznej partycypacji w wyidealizowanych zebraniach miejskich. [akapit] Połączenie deliberacji z równością polityczną wymaga, by zachodziła ona na miarę ludzkich możliwości, w skali kontaktów bezpośrednich (Fishkin 2009: 80).

To właśnie, zdaniem tego autora, mógłby zapewnić „dzień deliberacji” – przeprowadzenie sondażu deliberacyjnego tego samego dnia w skali całego kraju, chociaż, zdaniem nawet samego pomysłodawcy, jego zorganizowanie byłoby złożone i kosztowne²⁶.

Stanowisko Fishkina wyraża jednak klarownie wspólne przekonanie zwolenników demokracji deliberacyjnej: reprezentatywność ciała deliberującego jest lepszym, a w każdym razie nie gorszym zabezpieczeniem przeciwko każdej formie tyranii niż deliberacja ciał przedstawicielskich. A że reprezentatywność prób losowych uzyskuje się przez losowanie, nie przypadkiem jej zwolennicy dokonują przewartościowania tradycji demokratycznej i losowy wybór władzy w Atenach cenią na równi z samą debatą na agorze (por. Manin

²⁴ Por. krytykę tej koncepcji przez Seylę Benhabib (1996: 81–84).

²⁵ Szczegółowy opis procedury sondażu deliberacyjnego zamieszcza Fishkin w cytowanej książce *Voice of the People* (1995: 161–176).

²⁶ Pogląd ten wyraził Fishkin w swojej ostatniej książce *When the People Speak* (2009: 81). Ian Shapiro komentuje ten pomysł następująco: „Według autorów, przedsięwzięcie to kosztowałoby budżet 15 miliardów rocznie, nie licząc przy tym kosztów pośrednich ponoszonych przez całą gospodarkę. Trudno tymczasem wyobrazić sobie, jakie korzyści miałyby wynikać z tak olbrzymiego wydatku; wszak wszystko odbywałoby się w momencie, gdy kandydaci zostali już wybrani, program wyborczy ustalony, poparcie grupy interesów rozlokowane, a środki na kampanię wydane. Alternatywnie, przeznaczenie 15 miliardów dolarów rocznie na wspieranie rządzających partii trzecich czy też publiczne finansowanie wyborów mogłoby rozwiązać wiele patologii, które motywują ludzi do nawoływania do większej deliberacji” (Shapiro 2006: 33).

1997, s. 8–41)²⁷. Losowy wybór składu ciał deliberujących nie zapobiega co prawda wypaczeniu woli obywateli, ale też oni sami owej woli w ogóle nie dostrzegają w instytucjach rzekomo przedstawicielskich.

Obaw takich nie będą natomiast wzbudzać instytucje reprezentacji grupowej, co jeszcze nie znaczy, że nie będą one zakłócać mechanizmu ograniczania władzy, osiągniętego dzięki równowadze interesów społecznych. Skoro procedura deliberacji zakłada pełną płynność interesów jednostkowych i możliwość ich zmiany w toku debaty nad wspólnym dobrem, to za ideą reprezentacji grupowej kryje się założenie, że interesy te są o tyle stałe, o ile niezmiennie pozostają tożsamości grupowe podzielonego społeczeństwa²⁸. W żadnym wypadku, zdaniem jej zwolenników, nie można jednak powiedzieć, że we współczesnym społeczeństwie utrzymują się one w równowadze; najslabsze z nich pozostają niewyartykułowane na forum publicznym, nie są nawet uświadamiane sobie przez członków grup mniejszościowych. Rzeczona równowaga, która według twórców pierwszego państwa demokratycznego tworzyła się w jego instytucjach w sposób naturalny, według teoretyków reprezentacji grupowej nie powstanie bez dodatkowej reprezentacji najslabszych grup.

Jakie to grupy mniejszościowe muszą zatem znosić ucisk większości? Iris Young twierdzi, że nie ma jednej definicji ucisku, bo ten może być doskonale zinstytucjonalizowany i niemal niewidoczny, dlatego też definiuje go bardzo szeroko, nie próbując dociec jego istoty. Można, zdaniem autorki, mówić o nim już wtedy, kiedy dana grupa spełnia jedno z wyszczególnionych przez nią kryteriów:

- (1) Korzyści z pracy jej członków lub wydatkowanej przez nich energii trafiają do innych, a dana grupa nie odnosi z tego żadnych korzyści (eksploatacja);
- (2) jej członkowie są wykluczeni z istotnej aktywności społecznej, która w naszym społeczeństwie zachodzi zwykle w miejscu pracy (marginalizacja);
- (3) jej członkowie żyją i pracują, pozostając pod władzą innych, mając przy tym niewiele autonomii

²⁷ Historycy starożytnej Grecji mają oczywiście wiele wątpliwości co do losowego charakteru tych wyborów, a także kompetencji wyłonionego na tej drodze ciała rządzącego oraz jego rzeczywistego znaczenia (por. Finley 2000: 81–118).

²⁸ Są one oczywiście tylko względnie stałe w porównaniu z koncepcją interesów, założoną w teorii deliberacji. Nowy pluralizm tym właśnie różni się od tradycyjnego pluralizmu społeczeństwa klasowego, że składające się na nie grupy cechują się płynnością tożsamości i interesów. „Trwały charakter różnicy (*intractability of difference*) nie oznacza trwałości konkretnej różnicy i tak długo, jak długo każda grupa społeczna definiuje się w odniesieniu (a często w opozycji) do jakiejś innej grupy, jej poczucie własnej tożsamości jest z konieczności płynne i podatne na zmianę” (Phillips 1993: 161).

w pracy i władzy nad samymi sobą (ubezwłasnowolnienie); (4) jako grupa podlega ona stereotypizacji i przez to rzeczywiste doświadczenia i sytuacja jej członków są nieznanne w całym społeczeństwie; mają oni niewielkie szanse, by znaleźć posłuch dla swoich doświadczeń i własnej perspektywy oglądu spraw społecznych (imperializm kulturowy); (5) członkowie grupy muszą znosić okazjonalnie przemoc i prześladowania z powodu nienawiści wobec tej grupy lub się ich obawiać (Young 1989: 261).

Jak dalej przekonuje autorka, we współczesnych Stanach Zjednoczonych takiej czy innej formie ucisku podlegają przynajmniej następujące grupy:

kobiety, czarnoskórzy, rdzenni Amerykanie, Latynoamerykanie (Chicanos), Portorykańczycy i inni Amerykanie hiszpańskojęzyczni, Amerykanie pochodzenia azjatyckiego, geje, lesbijki, klasa robotnicza, ludzie biedni, ludzie starzy, ludzie niepełnosprawni fizycznie i umysłowo (tamże).

Will Kymlicka nie bez złośliwości zauważa, że gdyby zsumować wszystkich uciskanych wymienionych przez Young, otrzymalibyśmy 80% obywateli Stanów Zjednoczonych (Kymlicka 1995: 145)²⁹. Życzliwie interpretując myśl Young, nie należy rozumieć jej bynajmniej tak, że to 20% zamożnych, heteroseksualnych Amerykanów, mających praprzodków w Europie uciska resztę populacji, ale że ucisk jest zwykłą relacją między mężczyznami i kobietami, białymi i kolorowymi obywatelami, bogatymi i biednymi itp. Mniej życzliwie odnosząc się do tej diagnozy sytuacji, nie sposób nie zauważyć, że skoro zjawisko ucisku występuje w społeczeństwie w tak wielkiej skali, to reprezentacja grup upośledzonych z pewnością nie wystarczy, by mu zapobiec (pomijając już kwestię, dlaczego uciskająca większość, która okazuje się mniejszością, miałaby się zgodzić na taką reprezentację). Co więcej, obejmując niemal całe społeczeństwo, reprezentacja grupowa traci swój szczególny charakter, coraz bardziej zbliżając się do reprezentacji „lustrzanej”. Tym samym albo więc dubluje istniejące instytucje reprezentacji, albo też je zastępuje, a w każdym razie zupełnie zmienia charakter polityki uprawianej przez instytucje reprezentacji.

Polityka bowiem w tym systemie, o czym już była mowa, ma służyć celom innym niż budowa porządku, zapewniającego obywatelom bezpieczeństwo. Dobrą ilustracją tego, do czego ma zostać wykorzystana, może być idea

²⁹ Pół żartem, pół serio można zapytać, czy to właśnie dlatego Stany Zjednoczone lokują się tak nisko w rankingach zadowolenia z życia, ale czy z tych samych powodów też niewysoko lokuje się w nich Kanada, uznawana według innych kryteriów za jeden z najlepszych krajów do życia? Czy jednak z tychże samych powodów bardziej zadowoleni z życia są mieszkańcy Południowej Ameryki i Północnej Afryki, Chin, Rosji i Kazachstanu?

Tęczowej Koalicji demokratycznego kandydata na prezydenta w 1984 roku, Jessego Jacksona, o której zwolennicy reprezentacji grupowej wypowiadają się z dużą sympatią. W klasycznych koalicjach, jak dowodzi Iris Young, różne grupy podejmują wspólne działania na rzecz uzgodnionych celów, zawarły wcześniej porozumienie, że występujące między nimi różnice interesów i programów nie będą ujawniane publicznie.

W Tęczowej Koalicji jest dokładnie odwrotnie. Każda z należących do niej grup afirmuje obecność innych, a także specyfikę ich doświadczeń i perspektyw ogądu spraw społecznych. [...] W Tęczowej Koalicji czarnoskórzy Amerykanie nie tylko tolerują obecność gejų, aktywiści pracownicy z konieczności działają u boku weteranów ruchu pokojowego, a jedni i drudzy paternalistycznie traktują działalność feministek. Zgodnie ze swoimi ideałami Tęczowa Koalicja afirmuje obecność i popiera żądania każdej z uciskanych grup lub ruchów politycznych, jakie się na nią składają, i kształtuje swój program, nie kierując się bynajmniej „zasadami jedności”, które ukrywają różnice, ale pozwalając raczej każdej swojej części składowej podchodzić do kwestii społecznych i ekonomicznych z perspektywy jej doświadczeń. To wymaga, by każda grupa zachowała znaczącą autonomię i posiadała reprezentację (Young 2000: 188–189).

Autorka może jedynie żałować, że Jacksonowi nie udało się stworzyć obywatelskiej organizacji realizującej ten ideał, ale w rzeczywistości nie powinno ją to dziwić. Wszystkie grupy łączy tu bowiem jedynie to, że ich aktywiści czują się uciskani. Wspierając się nawzajem, mogą tylko afirmować swoją obecność w życiu publicznym, bo rzeczywiście nie ma żadnych powodów, by lesbijki i geje wspierali działania aktywistów związkowych. Czy jednak Tęczowa Koalicja, będąca niemal „lustrem” społeczeństwa, mogłaby pozostać sferą wolną od ucisku, w której afirmuje się inność? Czy feministki w istocie mogłyby sympatyzować z programem emancypacji amerykańskich Latynosów, w których kulturze żywy jest ideał *macho*? Czy czarnoskórzy Amerykanie, upominający się o akcję afirmatywną, znaleźliby zrozumienie u nowych imigrantów z Azji? Przestrzeń publiczna, jak każda przestrzeń, jest przecież ograniczona i czyjaś obecność oznacza brak miejsca dla kogoś innego. Można mniemać, że gdyby nawet zrzędzeniem losu Tęczowa Koalicja stała się koalicją zwycięską, najprawdopodobniej nie byłaby zdolna do stworzenia żadnego spójnego programu i szybko by się rozpadła.

Stabilne formy państw wielokulturowych – różnego rodzaju demokracje konsensualne – nie przypadkiem bowiem zawdzięczają swoją trwałość porozumieniom elit, które utrzymują kruchy porządek, kierując się logiką negocjacji interesów i moderowania konfliktów, a nie akcentowania obecności reprezentowanych przez siebie grup. Przykłady takich państw i prowincji,

jak Belgia czy Quebec, pokazują, że tendencje rozłamowe zawsze mogą się uaktywnić. W istocie zainteresowane stabilnością państwa elity grup narodowościowych muszą nawet – wchodząc ze sobą w rodzaj zmywy – tonować ich aspiracje, skoro osiągnięcie przez którąś z nich znacznej przewagi mogłoby oznaczać chęć przejęcia całego państwa albo też secesji z niego. Porozumienia między elitami zastępują więc ten mechanizm równowagi interesów, który według Monteskiusza i Madisona tworzy się naturalnie za sprawą instytucji reprezentacji w społeczeństwie zróżnicowanym, ale nie podzielonym według sztywnych kategorii. Reprezentacja deskryptywna, podporządkowana idei emancypacji i pluralizmu, mechanizm ten podważa, a przy tym nie proponuje dla niego żadnego substytutu i, biorąc pod uwagę naturę owego pluralizmu, zaproponować właściwie nie może³⁰.

■ Reprezentacja i granice demokratyzacji

Specyfika współczesnej krytyki demokracji reprezentacyjnej, o której była mowa, polega na tym, że demokratyzację ustroju chce ona osiągnąć za sprawą upolitycznienia społeczeństwa w dużej mierze chłodnego; w istocie można w niej dostrzec znaną ideę Rousseau, by za pomocą odpowiednich instytucji zastępujących władzę przedstawicielską ponownie uczynić z mieszczan obywateli. Deliberacja jako fundamentalna zasada porządku politycznego jest jednak wobec nich zbyt wymagająca, a przy tym dysfunkcyjna wobec całego systemu społecznego, którego nie można przecież sprowadzić do politycznego reżimu opartego na wartościach wolności, równości i braterstwa. Mówiąc wprost: kiedy ludzie mają pracować i odpoczywać po pracy, płodzić dzieci i wychowywać je, skoro ciągle mają deliberować? Z kolei projekt reprezentacji grupowej – pod tym względem, jak się zdaje, zupełnie niewymagający – wprowadza do systemu politycznego zasadę, której z pewnością nie jest w stanie sprostać. Choć bowiem ograniczenie dominacji, czyli nielegitymizowanego przymusu, jest w pełni uzasadnionym celem reform politycznych, żadne instytucje nie potrafią go zupełnie usunąć, i to nie tylko dlatego, że działają niewłaściwie. Oba nurty krytyki łączą się tu w utopijnym założeniu, że porządek społeczny może się opierać wyłącznie na konsensie.

³⁰ „Nowy pluralizm – zauważa Phillips – nie może przywołać (tak jak teoretycy pluralizmu z głównego nurtu) wizji szczęśliwego ładu, składającego się z grup skonfliktowanych ze sobą w pewnych kwestiach, ale zdolnych do osiągnięcia kompromisu w innych, ponieważ chce zaangażować się bardziej w sprawy grup intensywnie odczuwających wykluczenie i kierujących się polityką tożsamości” (Phillips 1993: 156).

Demokracja przedstawicielska nie jest wobec obywateli zbyt wymagająca ani też nie ukrywa faktu, że ostatecznie jedni z nich muszą podporządkować się drugim. Daje im możliwości realizacji ich aspiracji politycznych, pozostawiając jednocześnie swobodę niekorzystania z nich. I tę właśnie wolność od polityki tak zwani zwykli obywatele zdają się cenić nie mniej niż możliwość jej kształtowania poprzez wybranych przez siebie przedstawicieli. Dość ryzykowne wydaje się jednak założenie, że ceniliby ją sobie jeszcze bardziej, gdyby tego wpływu mogli doświadczać regularnie i bezpośrednio. Zasadnicza słabość diagnozy, na której opiera się omawiana krytyka demokracji reprezentacyjnej, polega bowiem na tym, że koncentrując się na instytucjach politycznych, nie bierze ona pod uwagę ich kontekstu kulturowego. To że instytucje te nie sprawdzają się obecnie jako środek wyrazu woli obywateli, może być przecież spowodowane czynnikami zupełnie innymi niż polityczne.

Możliwe jest jednak i inne wyjaśnienie tej sytuacji, które oddaje sprawiedliwość geniuszowi Rousseau. Być może słabość instytucji reprezentacji nie wynika wcale z okoliczności historycznych, ale z samej jej natury. Reprezentacja władzy w systemie politycznym, rozumiana od czasów Hobbesa jako relacja konstytuująca porządek społeczny, pozbawiona jest bowiem owego trzeciego członu – audytorium, przed którym zachodzi. Brak audytorium oznacza tu nieobecność instancji, która w zastępstwie reprezentowanych byłaby zdolna wymusić na reprezentantach właściwe sprawowanie przez nich funkcji. Pobożny król mógł jeszcze obawiać się kary od Boga za to, że źle reprezentuje przed nim swój lud, albo kary ze strony ludzi za to, że źle reprezentuje przed nimi Boga i jego wieczne prawa. Współczesny parlamentaryzista może się bać tylko tego, że nie zasiądzie w ławach parlamentu następnej kadencji – i to też niekoniecznie, bo pamięć wyborców jest zaskakująco zawodna – ale do czasu następnych wyborów jest właściwie bezkarny, jeśli nie liczyć mniej lub bardziej dotkliwych sankcji ze strony szefów własnych organizacji partyjnych. W instytucję reprezentacji, jak dowodzi Rousseau, wpisana jest więc alienacja władzy. Dlatego też podstawową cnotą instytucji przedstawicielskich jest właśnie odpowiedzialność władzy: odpowiedzialność rządzących, ale nie tylko przed rządzonymi, ale i za rządzonych, tyle że jej źródła należy już szukać poza porządkiem politycznym.

LITERATURA PRZYWOŁYWANA

- Bang Henrik Paul, Dyrberg Torben Bech (2000), *Governance, self-representation and democratic imagination*, w: Michael Saward (red.), *Democracy and Innovation. Deliberation, Representation and Association*, London–New York: Routledge.
- Benhabib Seyla (1996), *Towards a deliberative model of democratic legitimacy*, w: taż (red.), *Democracy and Difference. Contesting the Boundaries of the Political*, Princeton, NJ: Princeton University Press.
- Bohman James, Rehg William (1997), *Introduction*, w: ciż (red.), *Deliberative Democracy. Essays on Reason and Politics*, Cambridge, MA–London: MIT Press.
- Cohen Joshua (1997), *Deliberation and democratic legitimacy*, w: James Bohman, William Rehg (red.), *Deliberative Democracy. Essays on Reason and Politics*, Cambridge, MA–London: MIT Press.
- Diggs Bernard J. (1968), *Practical representation*, „Nomos”, t. 10, J. Roland Pennock, John W. Chapman (red.), *Representation*.
- Dryzek John S. (2000), *Discursive democracy vs. liberal constitutionalism*, w: Michael Saward (red.), *Democracy and Innovation. Deliberation, Representation and Association*, London–New York: Routledge.
- Finley Moses I. (2000), *Polityka w świecie starożytnym*, tłum. Dorota Kozińska, Kraków–Warszawa: Znak–Fundacja im. Stefana Batorego.
- Fishkin James S. (1991), *Democracy and Deliberation. New Directions for Democratic Reform*, New Haven–London: Yale University Press.
- Fishkin James S. (1995), *The Voice of the People. Public Opinion and Democracy*, New Haven–London: Yale University Press.
- Fishkin James S. (2009), *When the People Speak. Deliberative Democracy and Public Consultation*, Oxford–New York: Oxford University Press.
- Gambetta Diego (1998), «Claro!». *An essay on discursive machismo*, w: Jon Elster (red.), *Deliberative Democracy*, Cambridge, UK–New York: Cambridge University Press.
- Guinier Lani (1994), *The Tyranny of the Majority. Fundamental Fairness in Representative Democracy*, New York: Free Press.
- Gunnell John (1986), *Between Philosophy and Politics. The Alienation of Political Theory*, Amherst, MA: University of Massachusetts Press.
- Gutmann Amy (2003), *Identity in Democracy*, Princeton, NJ–Oxford: Princeton University Press.
- Gutmann Amy, Thompson Dennis (2004), *Why Deliberative Democracy?*, Princeton, NJ–Oxford: Princeton University Press.
- Herz Aleksander (1936), *Posłannictwo wodza*, Warszawa: s.n.
- Johnson James (1998), *Arguing for deliberation. Some skeptical considerations*, w: Jon Elster (red.), *Deliberative Democracy*, Cambridge, UK–New York: Cambridge University Press.
- Knight Jack, Johnson James (1997), *What sort of equality does deliberative democracy require?*, w: James Bohman, William Rehg (red.), *Deliberative Democracy. Essays on Reason and Politics*, Cambridge, MA–London: MIT Press.
- Kymlicka Will (1995), *Multicultural Citizenship. A Liberal Theory of Minority Rights*, Oxford–New York: Clarendon Press–Oxford University Press.

- Manin Bernard (1997), *The Principles of Representative Government*, Cambridge: Cambridge University Press.
- Mansbridge Jane (1999), *Should blacks represent blacks and women represent women? A contingent «yes»*, „The Journal of Politics”, t. 61, nr 3 (sierpień).
- Mansbridge Jane (1996), *Using power/fighting power. The polity*, w: Seyla Benhabib (red.), *Democracy and Difference. Contesting the Boundaries of the Political*, Princeton, NJ: Princeton University Press.
- McLaverty Peter (2009), *Is deliberative democracy the answer to representative democracy's problems? A consideration of the UK government's programme of citizens' juries*, „Representation”, t. 45, nr 4.
- Michelman Frank I. (1997), *How can the people ever make the laws? A critique of deliberative democracy*, w: James Bohman, William Rehg (red.), *Deliberative Democracy. Essays on Reason and Politics*, Cambridge, MA–London: MIT Press.
- Mouffe Chantal (1992), *Preface*, w: taż (red.), *Dimensions of Radical Democracy. Pluralism, Citizenship, Community*, London–New York: Verso.
- Phillips Anne (2005), *Czy feministki muszą zrezygnować z liberalnej demokracji?*, w: Paweł Śpiewak (red.), *Przyszłość demokracji*, tłum. Piotr Rymarczyk, Warszawa: Aletheia [oryginał w: taż, *The Politics of Presence*].
- Phillips Anne (1993), *Democracy and Difference*, Cambridge: Polity Press.
- Phillips Anne (1995), *The Politics of Presence*, Oxford: Clarendon Press.
- Pitkin Hanna (1967), *The Concept of Representation*, Berkley–Los Angeles–London: University of California Press.
- Przeworski Adam (1998), *Deliberation and ideological domination*, w: Jon Elster (red.), *Deliberative Democracy*, Cambridge, UK–New York: Cambridge University Press.
- Rehfeld Andrew (2006), *Towards a general theory of political representation*, „The Journal of Politics”, nr 68.
- Runciman David, Vieira Mónica Brito (2011), *Reprezentacja*, tłum. Katarzyna Sosnowska, Warszawa: Sic!
- Rättilä Tiina (2000), *Deliberation as public use of reason – or what public? whose reason?*, w: Michael Saward (red.), *Democracy and Innovation. Deliberation, Representation and Association*, London–New York: Routledge.
- Saward Michael (2000), *Less than meets the eye. Democratic legitimacy and deliberative theory*, w: tenże (red.), *Democracy and Innovation. Deliberation, Representation and Association*, London–New York: Routledge.
- Saward Michael (2006), *The representative claim*, „Contemporary Political Theory”, nr 5.
- Schwartz Nancy L. (1988), *The Blue Guitar. Political Representation and Community*, Chicago–London: University of Chicago Press.
- Shapiro Ian (2006), *Stan teorii demokracji*, tłum. Izabela Kisilowska, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Smith Graham (2009), *Revitalising politics through democratic innovation?*, „Representation”, t. 45, nr 3,
- Smith Graham (2000), *Toward deliberative institutions*, w: Michael Saward (red.), *Democracy and Innovation. Deliberation, Representation and Association*, London–New York: Routledge.

- Stokes Susan C. (1998), *Pathologies of deliberation*, w: Jon Elster (red.), *Deliberative Democracy*, Cambridge, UK–New York: Cambridge University Press.
- Waśkiewicz Andrzej (2012), *Paradoksy idei reprezentacji politycznej*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.
- Waśkiewicz Andrzej (2010a), *Representation as social relation. In praise of Georg Simmel on the centenary of the publication of his essay «The Stranger»*, „Polish Sociological Review”, nr 3(171).
- Waśkiewicz Andrzej (2010b), *Reprezentacja jako relacja społeczna*, „Res Publica Nowa”, nr 11–12.
- Young Iris Marion (1996), *Communication and the other. Beyond deliberative democracy*, w: Seyla Benhabib (red.), *Democracy and Difference. Contesting the Boundaries of the Political*, Princeton, NJ: Princeton University Press.
- Young Iris Marion (2000), *Inclusion and Democracy*, Oxford: Oxford University Press.
- Young Iris Marion (2011), *Justice and the Politics of Difference*, Princeton, NJ: Princeton University Press.
- Young Iris Marion (1989), *Polity and group difference. A critique of the ideal of universal citizenship*, „Ethics”, t. 99, nr 2 (styczeń).

Andrzej Waśkiewicz

TO WHAT EXTENT CAN REPRESENTATIVE FORM OF GOVERNMENT BE DEMOCRATIC?

Deliberation, Group Representation, and Paradoxes of Concept of Representation

The article discusses boundaries of democratization of the representational system of government. Whereas in the institutions of representation, as they exist at present, radical theorists of participatory democracy perceive a basic obstacle for greater civic activity, most theorists of minority emancipation see there the exclusion mechanism. In extreme cases the first group wants to replace the institution of representation with the institution of organized, systematic deliberation; the latter wants at least to change it, providing the minority with the seats in the representative bodies. In his attitude to these postulates the author reveals some sympathies, but even more reserve, indicating these functions of representation—legitimacy of the political system, institutionalization of sovereignty, but also institutional limitation of power, which in discussed projects focusing on increased civic activity, remain unnoticed or are treated quite ideologically.

Słowa kluczowe: demokratyzacja, reprezentacja, reprezentacja grupowa, deliberacja, legitymizacja, suwerenność, ograniczenie władzy.

Key words: democratization, representation, group representation, deliberation, legitimacy, sovereignty, limitation of power.